Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 4. Poznań dnia 22. Kwietnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Obrazy paryzkiego życia.

Paryż jest to niezmierny ocean; opisy jego życia złożyłyby potężną bibliotekę. Poznać je i objąć od razu niepodobna, bo człowiek w tym chaosie różnorodnych żywiołów zbłąka się, jak w lesie. Aby więc łatwiéj trafić do celu, podzielę sobie ludzi na klassy, jak się w historyi naturalnéj klassyfikują bedły lub grzyby. Najwięcéj Francuzów, a zatem i Paryżanów, dałoby się podciągnąć pod klassę przemysłowych ludzi, jednem słowem frantów; jakoż przemyślność i obrot tego narodu przechodzi wszelkie nasze pojęcie i nie napróżno wymyślono owo dla nas nie zbyt pochlebne przysłowie: Francuz wymyśli, Niemiec zrobi; a Polak głupi, to kupi. Przemysłowa ta klassa w Paryżu zawiera dwa rodzaje ludzi: I. Jedni, którzy nauczywszy się jakiegokolwiek rzemiosła lub proceduru, i włożywszy weń jaki taki kapitalik, żyją z niego mniéj więcéj poczciwie, jak tego okoliczności wymagają. II. Drudzy są, którzy nic nie robią, patrzą tylko, słuchają i mówią; a przecie żyć, przyodziewać się muszą, a nawet, ponieważ im się czas dłuży, chcieliby nieraz pozwolić sobie więcéj, niż najpracowitsi ludzie. W téj klassie nie objęci są jeszcze złodzieje, filuty, rabusie, rozbojnicy, kartownicy z professyi, kostery i dość liczny poczet podobnych łotrów, których rubryki, gdybyśmy ich wszystkich przejrzeć chcieli, nie miałyby końca.

Z tych dwóch klass wymienię tu kilka gatunków, u nas chwała Bogu mniéj znanych, tak jak się między roślinami szczególniéj opisują szkodliwe i jadowite:

A. a) Chiffoniers, zbieracze gałganów. Do tego zatrudnienia nie potrzeba wielkiego funduszu: 25 do 30 *Sous* może wystarczyć na zakupienie potrzebnych apparatów, zwłaszcza jeżeli się komu uda nabyć je z wolnéj ręki *par occasion*. Poczem bywa przyjęty do cechu i wolno mu z naczyniem w ręku, hakiem i latarnią w nocy przebiegać ulice miasta, zazierać do najobrzydliwszych zakątków i szukać wszędzie kawałków wyrzuconych papieru, zbierać ostrużyny lub inne gałgany i żyć jednem słowem na śmieciach, czyli plugastwie najszkaradniejszem. Cech ten ma swojego cechmistrza, radnych i jest w czasie rewolucyi straszną potęgą; jednak liczy się do ludzi uczciwych, pracujących, jak Pan Bóg przykazał, na kawałek chleba.

b) Brosseurs, ci którzy bóty chędożą, włoczą się tysiącami z nizką ławeczką, z blaszanym słojkiem i kilku szczotkami po ulicach, wołając na przechodzących, przymawiając niejako ich obuwiu: *Messieurs vos bottes, faites cirer vos bottes!* Upatrzywszy jakiego gawrona z prowincyi lub cudzoziemca, gwałtem go chwytają za bóty, i chcącego niechcącego chędożą, wynosząc pod niebiosa świetność i blask swojego glancu. Zwyczajnie od swoich żądają tylko dwa *sous* za wielką swoję przysługę; atoli w *Palais royal* są wytworniejsze tego rodzaju a przeto i droższe zakłady.

c) Dégraisseurs, wywabiacze plam, przedają ladajakie mydło i wywabiają plamy na miejscu. Każdego z przechodzących, u którego spostrzegą plamy na surducie (a mają wzrok sokoli), albo kołnierz nieczysty u fraka, ścigają, jak kawki sowę, chwytają za kołnierz, dopóki im nie jest powolny.

d) Colporteurs roznosiciele, bezwstydni i uprzykrzeni krzykacze, w pstréj odzieży, przedający Żurnale, okropne historye, obrazki, roznoszą gazety i pisma peryodyczne, rozdają różne polecające doniesienia i karty *gratis*.

e) Na długim szerokim moście *Pont neuf* zajęli stanowisko postrzygacze i handlerze psów. Na ich małych stołkach stoi napis wielkiemi literami *Monsieur* lub *Madame N. N. tond les chiens et va en ville*. U tych krzeseł uwiązany jest zwykle pies doskonale wystrzyżony i wytrefiony, mający ciągnąć, jak na lep przechodzących.

f) Wszędzie, gdzie stoją fiakry, znajdują się także próżniaki, którzy wsiadającym otwierają i zamykają powóz, prosząc o mały *bénefice*. W zimie wywołują woźnicę z poblizkich szynkowni, w lecie budzą go na wysokim koźle, gdzie, jak gdyby na łonie abrahamowym

w pokoju zasypia, spuszczając się w tak trudnym zawodzie zupełnie na swego pomocnika, który rozmarzonemu powtarza jeszcze głośno, wołając za nim z całego gardła: *St. Germain, Temple*, to jest, dokąd ma jechać.

B. a) Mouchards, niebezpieczni to są, straszni ludzie, słowem szpiegi; wszędzie ich pełno, w najświetniejszych towarzystwach, jak i po kloakach, przy rogatkach, po kawiarniach, cukierniach, teatrach i domach gry wszędzie się snują, jak złe duchy; narzucają się gwałtem familiom, mają związek z całym światem, z poczciwymi i z łotrami. Są oni tym niebezpieczniejsi, że ich nikt nie zna; zatruwają rozmowy w poufałych posiedzeniach obawą, wzniecają podejrzenia nawet na niewinnych i tem samem szkodzą moralności, podkopując zaufanie między poczciwymi ludźmi więcéj, niż istotni zbrodniarze, co kradną i rozbijają w nocy. Podłe narzędzia przebiegłéj paryzkiéj policyi, odbierają w miarę okazanego do tak zaszczytnego rzemiosła talentu, nikczemne wynagrodzenie; ważniejsze odkrycia zyskują osobny *bénefice*. Dla tego też ci upodleni ludzie zmyślają w swych głowach niekiedy spiski i komploty, o których się nikomu nie śniło, aby tylko co obłowić. Téj zaszczytnéj professyi chwytają się najczęściéj ludzie wyższego tonu, noszą broń i kartę ukrytą, na mocy któréj wojskową pomoc rekwirować mogą, aby się w przykrym razie uchronić od niebezpiecznych choć zasłużonych skutków swego niecnego rzemiosła.

aa) Mniéj niebezpieczni są i nie tak znienawidzeni szpiegi, których przedsiębiercy Omnibusów używają. Ci jeżdżą od rana do nocy *gratis* rozmaitemi Omnibusami, dając baczność, żeby ich konduktor nie zrobił defraudacyi; to jest, aby przy wsiadaniu każdego passażyera, jak jest przepis, posunął index swego zegaru o jeden Numer. Ile więc posuniętych jest na zegarze takich Nrów, tyle razy po 6 *sous* konduktor swemu pryncypałowi oddać winien.

b) Assomeurs, ludzie bez czci i wiary, zbiegli lub wyzwoleni więźnie z galer, urwisze od szubienicy, sam wyrzut i stek paryzkiéj hołoty: służalce policyi tajnéj, którą w razie potrzeby od napaści zasłaniać winni, są najstraszliwszymi pogromcami wszelkich rewolucyjnych emeutów. *Assomeur*, to jest zbójnik, używa do swego zaszczytnego rzemiosła porządnego knuta, czyli miernéj pałki, którą troskliwie pod odzieżą schowaną nosi. Skoro się tylko gdzie na ulicy rozruch pojawi, zakrawający na rewolucyą, krzyczy, co ma gardła: *vive la republique! à bas Louis Philippe!* lecz gdy się już zbierze znaczny tłum ludzi, dobywają ci oprawcy ukrytych kijów i z całéj siły zaczynają okładać, kropić, kaleczyć kobiety, dzieci, winnych i niewinnych, słowem całą tą zwiedzioną i oszukaną trzodę łatwowiernego ludu, rozgramiają i płoszą, jak kundle zaganiające błędne owce i barany.

c) Trompeurs. Jeżeli kto tak daleko doprowadził, że już wszystko przez gardło przepuścił, i znajduje się bez sposobu do życia, bez kredytu, bez talentu; a ma jeszcze porządny ubiór, fałszywy tombakowy łańcuszek pierścienie i rękawiczki; ten niech idzie do Paryża i niech zostanie „zwodzicielem, *Trompeur*.“ Niech się uda do jakiego sklepu lub magazynu i ofiaruje się właścicielowi, że będzie u niego przez cały dzień w kramie rozmaite towary i materye bez pieniędzy kupował, *et voila le Trompeur!* który za swoję fatygę 5 franków dziennéj pensyi pobiera. Jest to wędka, czyli lep dla kupujących, zwłaszcza ciekawych damulek, lubiących przypatrzyć się z boku ujmującym manierom ugrzecznionego kawalera, przewracającego z takim wdziękiem i kupującego z tak dobrym tonem najmodniejsze towary. Rozumie się samo przez się, że taki handlowy Adonis musi być jeszcze w kwiecie wieku, i znać wykwintne maniery wielkiego świata.

d) W paryzkich teatrach grają *Claqueurs* ważną nader rolę, dla tego, że od nich powodzenie sztuki zawisło. Uczciwy człowiek w teatrze nie klaszcze, ponieważ od tego są przez dyrekcyą teatru, przez aktorów, aktorki, autora płatni *Claqueurs* czyli poklaskacze. Jeżeli ma być dana nowa sztuka, jeżeli nowy aktor pierwszy raz na scenę występuje, albo nieznany jaki autor chce gwałtem pozyskać nieśmiertelną sławę; posyłają w téj potrzebie po *Chef de claqueurs*, ponieważ *Claqueurs* mają swoje stopnie i tytuły, podług godności, które piastują. Przed zaczęciem sztuki zgromadzają się w najbliższéj teatru winiarni, *Chef* wydaje rozkazy, rozdziela role, oznacza miejsca, poklask odnieść mające, a każdy z téj teatralnéj zgrai otrzymuje bilet na parter i w stósunku mocy gardła, jednę lub kilka szklanek wina. Kto się poważy gwizdać, kiedy oni na komendę klaskają, nieszczęśliwy! wyszydzony, wyksykany i wypukany w obec licznie zgromadzonéj publiczności. Dawniejszy *Chef de claqueurs* wielkiéj opery, pan Alexander, jest milionowy pan!

Ale pewnie was już nudzą, mói mili Czytelnicy, bo wam się szczerze przyznam, że i mnie już niecierpliwość bierze. Życzę ja wprawdzie krajowi memu, jak najwyższego stopnia oświaty i przemysłu; jednakże, gdybym mógł, dodałbym w Litanii do Wszystkich Świętych, gdzie jest mowa o odwróceniu od nas plag rozmaitych: „Od powietrza, głodu, moru, ognia i takiéj francuzkiéj przemysłowéj oświaty, zachowaj nas panie!“

K.

Literatura krajowa.

Poezya.

Do poetów.

Nie lubię was, poeci! którym lutnia w ręku
Innych tonów nie wyda, prócz żalu i jęku;
Was gdyby nawet rajskie zrodziły ogrody,
Jeszczebyście znaleźli do płaczu powody.
Na toż wam głos pociechy z nieba został dany,
Żeby mnożył cierpienia i rozdzierał rany? . . .
I wasze mnie nie więcéj oczarują strony,
Wieszczowie! co głuszycie uczonemi tony.
Mądrość! gorzki to owoc — serca nieposili,
Ani nocy rozjaśni — ani dnia umili.
Od chwili, która raju zbawiła człowieka,
Co dzień się rozum jego w mądrości zacieka;
Cóż z nią zyskał, czy prawdę już wyłamał z cienia?
Znalazł drogę do szczęścia — drogę do zbawienia? . . .
I owszem: Prawda przyszła świat wybawić z piekła,
A mądrość ją w cierniową koronę oblekła!
Precz więc ludzka mądrości! o wy! co pospołu
Razem z Bogiem siąść chcecie u jednego stołu,
Jak niegdyś prostaczkowie i niewinne dzieci;
Pokój — miłość — wesele śpiewajcie poeci!
Gdzie tylko waszych pieśni obiją się echa,
Niech, jak manna niebieska, tak spada pociecha;
A ile razy boleść w czułe łzy zamienią,
Łzy te, jak wonna rosa, laur wasz zazielenią.

Gdy Odkupiciel przyszedł, ludzkie zbawić plemię,
Trzy piękne córy nieba zstąpiły na ziemię:
Wiara, do szczęścia błędne prostuje nam drogi;
Nadzieja nam śród cierni, kwiat rzuca pod nogi;
Miłość zaś kiedy serce płomieniem otoczy,
Ziemię z niebem, a ludzi z anioły jednoczy.
Nieszczęśliwy! kto sióstr tych spojrzenia unika.
Ja was kocham; pocieszcie swego zwolennika,
O niebieskie posłanki! i skrzydły swojemi
Osłońcie mnie przed burzą w wędrówce na ziemi.
Niech życie moje w słodkich omamieniach bieży;
Objawcie cuda sercu — niech rozum uwierzy;
Bo do szczęścia na ziemi trzeba omamienia,
Bo na ziemi i prawda ma swoje złudzenia.
Czy poranek wiosenny pierś zachwyci moje,
Czyli upałów letnich utrudzą mnie znoje,
Czy wreszcie mróz zimowy zaskrzypie podemną,
O wy córy młodości! wy zostańcie zemną.
Jeźli wasze natchnienie pieśń jakową zrodzi,
Niech pieśń ta Boga chwali i dni moje słodzi;
Niech z ostatnią ostatnie tchnienie moje skona! . . .

Kraków, 1838. *J. N. J.*

Jarmark poleski.

Janówka.

Nulla dies abeat, quin linea ducta supersit.

Oto jesteśmy w małéj mieścinie Polesia wołyńskiego Janówce. Mało kto zapewne zna ją prócz sąsiadów, bo bardzo maleńka, zasuniona w lasy i ustronie, siedzi na piasku cały rok spokojna, a ożywia się dopiero na wielki jarmark w dzień SS. Szymona i Judy w Październiku. Należała ono niegdyś podobno do możnéj, a dziś upadłéj prawie rodziny Sapiehów. Sławny jéj jarmark, przynajmniéj promieniem sześciu mil do koła ściąga żydów, wieśniaków, ekonomów i drobnych właścicieli z wołami, końmi, lub po woły, konie i t. d. Woły jednakże zowiące się tu wszędzie towarem *per excellentiam*, w istocie najważniejszą część targu stanowią. Zrobimy tu uwagę, żeśmy ten wyraz towar znaleźli użyty w starych kronikach ruskich, w znaczeniu powszechném majętności, mienia.

Niezachwyca wcale położenie zupełnie poleskie Janówki; trudno aby w niem najbardziéj nawet uprzedzone oko znalazło piękność jaką (jakkolwiek piękność w stósunku do smaku jest względną); to pewna, że trzebaby się chyba urodzić w Janówce, żeby się piękną wydała. Kilkanaście chat na piasczystem polu rozłożonych, jedna karczma pusta, pusty także a dość obszerny kościół z klasztorem Bernardynów, rynek szeroki, który rok cały trawą zarasta, nim go w Październiku wydepczą, kramiki drewniane raz w rok tylko zajęte, nareście mały młynek nad drogą; wszystko to nie jest malowniczem na równinie i piasku wśród bajrakowatych i pokrzywionych sosien. Lecz dzień jarmarku, dzień wielki i uroczysty dla arędarza, nadaje téj pustyni poleskiéj pozór ożywiony i charakterystyczny.

Po wszystkich drogach wiodących do miasteczka, ciągną się furmanki liczne, wozy, bryczki kryte i niekryte, jeźdźcy, pieszaki, budy płócienne nadziewane żydami i rodziny Poleszuków, w których twarzy próżno szukasz śladów pomięszanych plemion, co dawniéj zajmowały Polesie.

Rynek cały napełnia się aż pod kościół i wylewa aż za płoty; liczne wozy ściskają się jedne koło drugich, a te, jak łatwo się domyślać, stają się ogniskiem jarmarku, mianowicie przy karczmie, gdzie pożądany spija się mohorycz. Mohorycz jest to gdzieindziéj zwany borysz, dodatek do cen towaru, poczastka, bez któréj wieśniak nie przeda nigdy, a gdy go kupujący odmówi, targ nawet zrywa.

Ku południowi coraz się zgiełk powiększa, ze wszystkich stron słychać żywe rozmowy i najrozmaitsze odgłosy. Tam wół ryczy, tu koń rży i wierzga w oczy przechodzącym, kwiczą wieprze poprzywięzywane na wozach, rzucając się, a wielka liczba kóz, które się tu dobrze płacą, łączy swój głos z tysiącem innych, gdzie jednak głos pana świata, człowieka, zawsze prawie górę trzyma. Trudno jest odmalować rozmaitość postaci, głosów, rozmów, charakterów, fizyonomii, ubiorów, jaka się tu ściska i kręci. Żydzi z bezmianami na plecach, jakby żołnierze pod bronią, włóczą się za lnem, konopiami, grzybami i woskiem; Poleszucy w białych sukmanach z czerwonemi lub z czarnéj skóry pasami, z kalitką, krzesiwem, papużą tytuniu i nieodstępną fajką w zębach, kopcącą im nieustannie pod nos i gasnącą co chwila, Piliponi w wysokich kapeluszach i ogromnych butach, wzrostem i strojem w tłumie widoczni, żydówki brudne, odarte i chciwe, kobiety poleskie w chustkach białych, z uśmiechem na ustach, a kurami na ręku, Hollenderki w dziwacznych płaszczykach z paskowatych różnokolorowych spódnic, Hollendrzy ze swoją rodzimą fizyonomią, nieco już obyczajami poleskiemi wyszpoconą, cyganie z czarnemi rozczochranemi włosami i t. d. i t. d., nareście nieocenione figury panów ekonomów w czapkach uszatych, w surdutach szarych, z kijami w ręku, z pogardliwą miną! A wszystko to w niepojętym ruchu i ożywieniu wszystkich części ciała; zacząwszy od pierników i obwarzanków, aż do wołów i koni wszystko się porusza i żyje. Wszędzie brzęczą pieniądze, na twarzach pali się chęć zysku, nadzieja, lub zaspokojona, sama sobą nasycająca się radość.

Pod namiotem nad powózkami zaimprowizowanym wśród rynku, ruski kupiec z Łucka, rozwiesza swoje krasne towary, z daleka mile wabiące oczy poleszanek. Tu ciśnie się ciekawie i chciwie pożerając oczyma chustki i perkale, żeńska połowa jarmarku, rozwiązuje starannie węzełki dla kupienia nie drogiego stroju ceną kilku kur, lub staréj faworyty kozy, którą już żydek przemyślny zarznął wśród rynku. Obok szałasu, czynni żydzi, nielękając się współzawodnictwa, w kramikach siedzą i nie odurzeni natłokiem osób, wrzawą i krzykiem, wszystkich wołają, nęcą, proszą, ciągną do siebie, kłócą się, targują, biją nawet i razem zdają jeszcze resztę, uważając, żeby jak najgładsze oddawać złotówki, z zadziwiającą przytomnością wszechstronną i talentem nieocenionym. Jest to w swoim rodzaju taka sztuka, jak dyktowanie kilku listów razem. Między wielomównym żydem, a cichym kupcem ruskim, waha się żeńska połowa; bo żyd ma swoje przyciągające sposoby, zna tradycyonalnie serce ludzkie, uczył się go razem z Talmudem od Szpektora i ojca, wie szerokie drogi i kręte ścieżki, któremi do niego wejść można, ma tysiąc środków na pokonanie ludzi tak bezbronnych, gdy im chodzi o zrobienie przyjemności sobie! Przyciągając do kupna, łechce próżność, wabi oczy, pociąga serce i durzy głowę nieboraka. Nie jeden sam nie wie, dla czego i na co kupuje, a nie umie się oprzeć urokowi żydowskich zachęceń. — „Nu! czy to ty zginiesz, jak kupisz? a wéj! taka mała rzecz! Co to tobie znaczy? ty taki bogaty! Tu wasza ekonomowa kupowała ten sam cyc i drożéj zapłaciła, a ja wam taniéj oddam po znajomości. Bodajbym zginął, kiedy nie na stracę! Ale to reszta — kawałek — ostatek! Albo to ty tego niemasz mieć, co ekonomowa? a wéj! A ty siebie nie poznasz, jak się ubierzesz! Nu, nu bierz! już ja odmierzył, na masz — niechcesz? a kiedy ty targował! a wéj! a to co? co, to ja ciebie oszukuję! a ty targował!“ — „Kiedy niema pieniędzy.“ — „Jakto niema? ty może co masz na przedaż? czy to ty nic nie przedał?“ i t. d. „Podusznego czekają! a wéj! jesień jeszcze ty cztery razy tyle zbierzesz!“ i t. d. Nieco daléj kupa sukman, świtek, burek, płaszczów, przy wielkiéj skrzyni leżąca otoczona jest gromadą kupujących, którzy się dziwią sobie, ubrawszy się, i uśmiechają na zwodnicze pochwały przedającego żyda.

„A! a! ty inszy człowiek! to ty dom kupujesz, nie suknią, a jaka ciepłość! a jaka to moc! a wéj! Nu, co ty targujesz, ja tylko dla ciebie za tę cenę oddaję! Ty stary znajomy! a pamiętasz przeszłego roku, jak ty u mnie kupił — — nu, nu! płać, płać!

Trochę daléj znowu stoi wóz z kożuchami, gdzie podobna powtarza się scena. Za nim drugi, nad którym wetknięto tyczkę wysoką z parą bótów; ten jest sklepem na prędce urządzonym rozmaitego obuwia, gdzie bogatsi Poleszacy długie, czarne, za kolana zachodzące wspaniałe bóty kupują.

Tuż znowu tyczka nad wozem wywieszona z rostrzepaną papużą tytuniu, wabi wieśniaków do ulubionego im przysmaku.

Wielki sklep czapek rozmaitych rozwieszony na ścianie karczmy, zachwyca chłopców, otwierających przed nim gęby szeroko. Stoją przed nim w swoich obdartych białych sznurkiem naszywanych czapeczkach sukiennych, lub wyszarzanych baranków, pretendenci do nowych, probują, patrzą, zaglądają, uśmiechają się, naradzają, a kupiwszy wreście odchodzą, ciesząc się, poprawiając i oglądając, czy cały jarmark patrzy na ich nową czapkę.

Daléj jeszcze w rynku dymią się ogniska, koło których jesiennem zimnem skostniałe ręce ogrzewają Pole-

szuki i zapalają małe fajeczki i garnki przystawiają, śpiewając wesoło. Poleszuk gdziekolwiek stanie, cokolwiek bądź robi, tak lubi ogień i dym, że w Lipcu nawet zapala ognisko przez nałóg, a razem dla ulubionéj swojéj fajki, która mu co minuta zapalona, gaśnie i gaśnie bez końca. Pod ściśnionemi w rynku wozami leżą długie trąby drewniane osikowe, których przeznaczenia trudno obcemu na pierwszy rzut oka odgadnąć. Są to dymniki czyli kominy chat poleskich, które pijani śmiejąc się, armatami nazywają. Na wozach same gospodynie na workach siedząc, czekają kupców, a gospodarze najczęściéj w karczmie siedzą, lub za kupnem chodzą. Nie małym towarem są tu koła i łyka na postoły, łapcie (czyli kurpie (litewskie wiżos) łyka, które pękami powiązane wiszą na wozach. — U płotów stoi większa część wołów na przedaż, żując chciwie zarzuconą im garść słomy, koło nich kręcą się żydzi i panowie wolarze. Droga idąca od młynku do klasztoru, zowie się ulicą końską, przez nią nieustannie chłopi ze swemi chmyzami, ekonomowie z odpasionemi kalekami, żydzi z wypracowanemi szkapami, przejeżdżają się, klaskając z bicza. Kiedy niekiedy targ ich zatrzymuje, znawca opatruje, maca gruczołków pod gardłem, ogląda nogi, patrzy w zęby, uśmiecha się i targuje. A w targu jest sztuka i wielka sztuka. Kto nie umie kupować, ten i przepłaciwszy nie kupi, trzeba mieć doświadczenie i zimną krew kupca z professyi, żeby dobrze kupić, a nadewszystko potrzeba cierpliwości. Nawet strój właściwy przykłada się do dobrego kupna, bo kupiec powinien być dosyć obszarpany, w baraniéj czapce, z kijem w ręku i minę mieć zbiednioną. Zwyczajny targ od trzeciéj części ceny się zaczyna i zarywa na kłótnią, która powoli potem się uśmierza, aż do ugody przyjdzie.

Ku południowi zwiększa się liczba Ich Mościów, którzy z fajkami w ustach, z laskami w ręku, najpoważniejszą część jarmarku stanowią; pań także i panienek kapeluszowo-szlafrokowych, które się niespokojnie oglądają, czy kto młody, przystojny na nie nie patrzy. Niektóre fizyonomie dobrze dokonana przedaż ożywia, inne dobre kupno, inne jeszcze dobry trunek, smutnie tylko ziewają ci, którym na wyjezdnem z domu stara baba, z próżnem wiadrem przeszła drogę, i którzy dla tego na jarmarku nic zrobić nie mogli.

Na końskiéj uliczce, koło wołów, ku wieczorowi dopiero brzęczą pieniądze, bo każdy kupujący w nadziei, że przedający z ceny spuści, czeka z kupnem do wieczora. Wieczorem obraz jarmarku całkiem się odmienia. Jak wszystko, co się kończy, jak bal, gdy świece gasną, jak gra, gdy zielony stolik odstawiają, jak wszelki szał, gdy po nim tylko usta spalone zostaną, tak i jarmark smutny jest przy końcu. Niestety! wszystko się kończyć musi! —

Tam pijani pokrwawieni trochę, lub tylko pobłoceni, taczają się z babami za ręce trzymając, i śpiewając chrypliwie, powoli, cicho. Zmierzch pada, żydzi skwapliwie pakują resztę towarów. W karczmie rozbite kieliszki i szklanki, pobluzgane stoły, błota pełno, pijani śpią pod ławami. Na rynku drzemią przygasłe ogniska, walają się szczątki jadła, stare łapcie i szmaty, tam i owdzie krew zabitych kóz i bararów, psy liżą spokojnie. Koło płotów znać po śladach woły, których już niema, kołki z nich powyrywane, gdzieniegdzie wytratowana ziemia, tam coś rozsypanego, tam rozlanego. Po drodze wozy różnie sprzężone końmi, wołami wracają. Wszyscy weseli, bo wszyscy prawie pijani, prócz żydów. Cygan z żoną i synową, czarny, zasmalony odarty, któremu koszula przez kożuch z boku wygląda, gada jeszcze w kącie z chłopcem tajemnie i po cichu. Ten, czapkę nową nasunąwszy na uszy, z fajką zagasłą w zębach, z krzesiwem w ręku, które z kalitki dobył, krzesze ogień po palcach i skrzesać nie może. Dwie cyganki z czarnemi włosami, a białemi zębami otaczają go z dwóch stron i gładząc pod brodę, starają się przekonać.

Wszystko się pakuje, wyjeżdża i spieszy do domu, przed chatami mieszczan żegnają się z nimi ich krewni, przyjaciele, kumy, powinowaci, swaty i znajomi ze wsi sąsiednich, całują i rozchodzą. Ta scena jest najczystsza i najczulsza ze wszystkich obrazów jarmarkowych. „Dziękujem za wszystko!“ wołają odchodzący. — „Wybaczajcie!“ odpowiadają gospodarze. Dobrze wybaczyć, najadłszy się. Jest to dosłówna forma dowcipnéj odpowiedzi, którą sto razy ze śmiechem naiwnym przyjmują, jak gdyby nową. Po czem gospodarze, ukłony jeszcze z daleka przesyłając, wracają do chaty. A może ciekawi jesteście, jak chata zamożnego Poleszuka wygląda! Podwórko otoczone jest chlewkami różnego kształtu i wielkości, błotniste, ścieżką wydeptaną przedzielone, prowadzącą do sieni, w których duży wieprz karmny poufale chodzi i mruczy, znając dobrze, iż jest faworytem i ważną figurą. Kilka kur sadowi się na belce do snu i trzepiocze, układając skrzydła. Przez wysoki próg wchodzi się do białéj izby, izby paradnéj, gdzie jest piec, na którego przedzie (wystawie) palą się skałki smolne, koło pieca ława, w głębi poczęte krosna, kołyska dziecka i stół także otoczony ławami. Ściany do koła ławy opasują. Ku drzwiom stoi ceber, rażka, garnki na półkach i stara kwarta. W głębi, w kątku pod obrazem dzieża chlebna szanowna, poważne zajmuje miejsce pod opieką błyszczącéj N. Panny, rozta-

czającéj nad nią swój płaszcz gwiaździsty. Nad drzwiami i oknami krzyże i symboliczne słowiańskie charaktery wejścia wszelkiemu złemu bronią, wycięte pobożną ręką dziaka, który dla wiecznéj pamiątki dodał na średniéj belce rok 1790. Próżnoby tu kto szukał śladu podłogi, nie ma jéj tylko ubita ziemia. Okna maleńkie, w części z okrągłych szybek złożone, a przemyślny gospodarz ściany swoje czysto pobielone, glinką żółtą od spodu do połowy, żeby mu nowéj swity nie walały, pociągnął. Na ławie pod piecem siedzi stara kobieta z fajeczką w zębach, z oczyma wlepionemi w garnki, koło drzwi szczepie drwa parobek wysoki, także z fajką, młoda kobieta drzemie, kołysząc dziecko i nuci po cichu. Takie jest wnętrze chaty Janowskiéj.

Tymczasem na drodze wiodącéj ku młynowi, rozmijają się bryczki, wózki, konni, i wszystko opuszcza Janówkę, na cały rok pustą znowu, jak przedtém, aż do SS. Szymona i Judy.

J. J. Kraszewski.

1838.

Słów kilka o duchu wychowania narodowego.

W wieku tak treściwym w wypadki, tak okwitym w wynalazki, tak bogatym w rozgałęzieniu sztuk i umiejętności, słowem w wieku oświeconym, powinnibyśmy saméj pomyślności cieszyć się widokiem, powinnaby ludzkość podnieść się do szczytu swego przeznaczenia, i wszechstronnie rozwinięta, w słabem przynajmniéj odcieniu objawić ów wiek złoty, o którym z podania wiemy, a który teraz w duszach cnotliwych pod nazwą Królestwa bożego żyje. Ale tymczasem porzuciwszy szkoły i uczonych pracownie, zamknąwszy księgi, które nam o tém w mnogich tomach piszą, wychodząc z onego zaczarowanego świata w świat rzeczywisty; jakże przeciwny dla oka i serca przedstawi się widok! bo pominąwszy tu i owdzie wzniosły indywiduów polot; pominąwszy ów samotny świat myśli, który dla szczegółów tylko otwarty, jakby zaklęta dla ogółu dziedzina, wraz z swojemi kapłany, w swoim się zasklepia kole; wglądnąwszy w życie społeczne, nic zaiste nie ujrzymy, coby prawdziwie wiek oświecony znamionować mogło. Gdzież jest bowiem owo żywota słońce, które całą głębią życia przenika, i wszystkie społeczne siły na jaw wydobywa? gdzież ów cel przyrodzonéj człowieczeństwa zacności, do którego przy najrozmaitszych pojedyńczych kierunkach, w harmonijnéj jednak zgodności całe społeczne posuwa się ciało? gdzie wielkie charaktery owych w obieg społecznego życia zaszczepionych pomysłów, które jakoby słońca, w najdrobniejsze nawet życia odcienia promień Boskości wlewają? Gdzież jest nakoniec żyjące świadectwo rozumu i cnoty, ów silny a nie wymuszony spój przystających do siebie cząstek w jednę całość? Brak zaś tego wszystkiego porównany z tém, o czem mnogie księgi tak szumno zwiastują, porównany z tą zewnętrzną pozłotą, a tą czczością wewnątrz: nie naprowadziż nas do myśli, że ów wiek oświeconym zwany, jest wiekiem samolubstwa i obłudy? *)

Nie jest moim zamiarem ubliżać temu, cokolwiek pięknego w swobodnéj myśli i sztuk dziedzinie w naszych pojawiło się czasach; i owszem z należną dla talentów sprawiedliwością, jeżeli nie najpiękniejszą kreślę barwę wieku, wina to jest stanowiska, z którego patrząc na rzeczy, taki a nie inny przedstawia się obraz. Rzuciwszy bowiem okiem na tę mnogość myśli, zdań, wyobrażeń, które w ciągłym i nowym na pozór ruchu wszystkie nauk wstrząsają gałęzie; zważywszy ów postęp sztuk mechanicznych, te wynalazki i odkrycia, które obecność następnym czasom pod nazwą cudów przesyła: z drugiéj zaś strony dotykając życia ludów, a zgłębiwszy całą karłowatość jego, spuściwszy się w tę otchłań pomroki, gdzie brak żywotnych promieni zaledwie wegetować pozwala, gdzie instynkt zwierzącego bytu jedynym jest ruchu bodźcem: zaiste dwa różne życia ścisłym od siebie odgraniczone kordonem przypuścić musimy. Tak więc albo życie myśli, książek, szkoły, prawdziwym będąc żywota przychowkiem, ma upodobanie w samolubnem odosobnieniu, i głodnym masom żadnéj nie przynosi karmi; albo też błyszczącą tylko powlókłszy się szatą, mami nieświadomych nadzieją ziarna, którego mu w istocie brakuje. W obydwóch razach, jakież co do nazwy wieku dadzą się wyciągnąć wnioski?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

M. Czaykowski donosi nam, iż pracuje obecnie nad nową powieścią historyczną »Stefan Czarniecki« w dwóch lub trzech tomach. Szanowny autor wkrótce udzieli nam z niéj wyjątków; tymczasowo nadesłał nową powieść kozacką dla naszego pisma napisaną, którą w następnym numerze umieścimy.

*) W tych dniach wyszło w Erfurcie dziełko pod tytułem: »Die Civilisation der Gegenwart von Oswaldsohn v. d. Schlei 1839.« popierające zdanie naszego pisarza. Nasz czas, pisze niemiecki autor, rzucił się do niższéj zmysłowéj cywilizacyi, zamiast ubiegać się za wyższą, moralną. Industrya jest wprawdzie przemysłem, ale tylko oszukaństwa i zwodniczéj rachuby. Kto ma wszystko, żąda jeszcze więcéj, kto nic nie ma, pragnie wszystkiego. Gdzie rzucimy okiem, jest zbytek w posiadaniu i nędzy, używaniu i łaknieniu. Hipokryzya zowie się pobożnością, obłuda pokorą, effronterya szlachetnością, podłe pochlebstwo skromnością. Miłość w ustach, nienawiść w sercu, przyjaźń w oczy, obmowa za oczy. Wszystko więc mamy, prócz prawdziwéj cywilizacyi.

Uw. Red.

J. U. Niemcewicz wydał następujące **Uwiadomienie o zamiarach wydziału historycznego i o sposobach ich wykonania:**

»Zbieranie materyałów Historyi Polskiéj, przez wypisy, bądź z dzieł drukowanych, bądź z manuskryptów, a mianowicie za granicą znaleźć się mogących, oto jest pierwszy i główny zamiar Wydziału Historycznego. Każda, aczby najmniejsza, biblioteka może posłużyć do téj pracy; każdy Polak umiejący pisać poprawnie, może się czuć powołanym do niéj. Zamiar ten Wydziału Historycznego rozpoczęty i stateсznie posuwany przez mnogich rodaków, utworzyć zdoła zbiór znakomity, pożyteczny, pamiętny; dla historyi naszéj pożądany, dla pracowników zaszczytny.

Wydobyć z utajenia materyały historyczne, rozrzucone po różnych krajach w jeden korpus zgromadzić, przez podwojenie exemplarzy zabezpieczyć je od zatracenia, jest to zaiste zamiar wielkiéj wagi, i tém większéj dla nas, gdy nam idzie o historyą Polską, o historyą narodu, którego zapasy pismienne zarówno z krajem ulegały wszystkim klęskom wojen i zaburzeń, i uległy, jak i kraj, nieszczęściom. Gdzie nie ma zebranych w wielkiéj liczbie materyałów, tam historya dokladna jest niepodobną; Naruszewicz, który stanowi epokę w dziejopisarstwie naszém, zaczął, pod opieką Stanisława Augusta i w kraju, od urządzenia i przewodniczenia téj przeważnéj pracy, jaką my dziś, zamierzamy. Sławny zbiór pod nazwiskiem *Tek Naruszewicza*, owa wielka Narodowa Kronika w dwiestu kilkudziesięciu Tomach zawarta, powstała z prostych wypisów; większa ich część wprawdzie czerpana w źródłach krajowych, w archiwach Polskich, a częścią nawet w zagranicznych; lecz ledwie nie połowa wyjęta z dzieł drukowanych. Raynald, Durand, Pez, Bzowski, Sommersberg, Sczygielski, Nakielski, Okolski, Dogiel etc. dostarczali materyałów temu zbiorowi My zamierzając podobny, nie możem czerpać z archiwów Polskich; dziś nawet gdzież one są? My źródeł naszych historycznych szukać musim za granicami Polski, po wszystkich krajach Europy. Dostarczą nam ich obficie, naprzód wielkie a kosztowne lub rzadkie drukowane zbiory historyczne, których w kraju dziś nie ma — dostarczą nam ich mnogie pismienne dokumenta, które się po zagranicznych bibliotekach i archiwach przechowują, lub które traf rozrzucił i w utajeniu trzyma. Nie jesteśmy dzisiejszym narodem, ani byliśmy barbarzyńskim; po wszystkich krajach znajdujem wielorakie ślady i pomniki bytu naszego: związki narodowe, związki familijne panujących, wojna, dyplomacya, religia, nauki, handel, podróże, łączyły nas oddawna z najoświeceńszemi narodami w Europie. W Niemczech dawne stolice zawierają tego liczne ślady; do Szwecyi wojna przeniosła stósy naszych papierów; z Hiszpanią, z Danią, z Anglią, z Hollandią miewaliśmy częste związki. X. Ciampi spory tom napisał o Polakach we Włoszech, i o Włochach w Polsce; tyleżby prawie można zebrać o Francuzach i o Polakach. Emigracie Ludów i Królów mieszały te dwa narody; rząd Francuzki utrzymywał przez dwa wieki ciągłych prawie Rezydentów w Polsce. Temi to kanałami rozsypywały się po Europie rożnéj formy materyały historyi naszéj. W bibliotekach i archiwach Paryzkich wiele ich znaleźć można; nie mało w Muzeum Brytańskiém, nie mało na Watykanie; a raczéj, powiedzmy jednėm słowem: znaleźć je można wszędzie, tam nawet gdzie podobieństwa do tego nie było. Niedawno we Francyi znaczna część archiwum jednego z Królewiczów Polskich uratowaną została od sprzedaży na funty; niedawno, jeśli dziennikom wiarę damy, w Serwii w katakumbach znaleziono pisma tyczące się Polski. Przestajem na tych napomknieniach; dość już i tych, aby nas natchnąć ochotą, wytrwałością, jeśli nawet nie zapałem do wdzięcznéj pracy. *)

Obok tego przedsięwzięcia, które jest gruntem i niejako istotą Wydziału Historycznego, Wydział ma jeszcze na widoku inne literackie projekta, do których w swoim czasie, nie bez nadziei dobrego skutku przystąpić zamierza.

Wydział Historyczny rozpoczynając zawód prac zamierzonych, nadzieje ich powodzeń opierał jedynie na gorliwości licznych rodaków, których do współdziałania odezwą swoją z dnia 5. Maja zaprosił. Aby zaś dla dalekich od siebie spólpracowników, po różnych krajach znaleźć się mogących, wskazać plan i sposób pracowania, wspólnie i według pewnego ładu w przedsięwziętym celu, Wydział Historyczny uznaje za rzecz konieczną podać do powszechnéj wiadomości: jakim sposobem urządził się w Paryżu, jakie i jakim trybem rozpoczął roboty. Tymczasowa organizacya wydziału przyjęta na posiedzeniu d. 15. Kwietnia, jest następująca.

I. Wydział Historyczny składać się będzie:
a) z Grona środkowego Paryzkiego złożonego z nieograniczonéj liczby członków zamieszkałych w Paryżu;
b) z Gron posiłkowych formowanych po wszystkich krajach, gdzie są Polacy, znoszących się z gronem Paryzkiém, przez swoich Prezesów i odsyłających zbiory swe do głównego archiwum;
c) z Korrespondentów pojedyńczych;
d) z Dobroczyńców Wydziału obowiązujących się do opłaty najmniéj 100 fr. rocznie.

II. Obowiązki członków Wydziału, Grona środkowego:
a) Dostarczyć co miesiąc najmniéj 4 arkusze wypisów historycznych, do archiwum; lub 2 fr. do kassy.
b) Pomnażać bibliotekę i archiwum Wydziału, przez dary własne lub przez zachęcenie do tego obcych osób.
c) Starać się o dary pieniężne na rzecz Wydziału.
d) Wypełniać wszelkie polecenia literackie, dla dobra Wydziału, przez Prezesa wydane.
e) Wstępnego płacą 5 fr. i jedno dzieło historyczne składają do biblioteki.

III. Członkowie Wydziału na ogólnych sessyach miesięcznych, wchodzą w rozpoznanie wszelkich spraw Wydziału, biorą je pod dyskussyą, podają projekta etc., lecz wszelka w tém decyzya należy do Prezesa w Radzie wydziału.

IV. Rada Wydziału składa się z Prezesa i urzędników Wydziału, przez Wydział mianowanych: Podskarbiego, Bibliotekarza, Sekretarza etc., oraz z dwóch Dobro-

---

*) Nietykając wielkich Europejskich Bibliotek, wskażem kilką przykładami, że i w mniejszych znajdują się interesujące dla Polaka rękopisma. I tak: W Reims *Relazione di Polonia di G. Lippomano* 1754. — W Nancy: 1) *Recueil des pièces diverses en* 3 *volumes provenant de la Bibliothéque du duc Ossoliński.* 2) *Ouvrages de Stanislas, roi de Pologne.* Autografy. — W Avignon: *In S. Thomam de veritate quaestiones. Auctore Dąbrowski.* Na pag. — W Dijon: *Stanislaidos Libri XXX.* Originał. — W Montpellier: 1) Heckii *fructus itineris per Pomeraniam, Poloniam, Bohemiam.* 2) *Manoscritti originali di Cristina Regina di Suetia.* 15 vol. in 4to. — W Tulonie w arsenale Marynarki mają się znajdować Bandery dawnéj flotty Polskiéj. — W Aix: *Memoires pour servir à l'historie de la vie et des actions de* Jean Sobiesky. — W Strasburgu: *Copernici Epistola ad Bernardum Vapowski scripta ex Varmia* 1524. (Znak voluminu D. V. 7. 2. in 4to 2.) *Lettres autographes d'Auguste II. et de Maurice de Saxe à la Princesse de Holstein.* — W Bazylei: 1) *Cracoviensis Universitatis Scriptum ad Episcopum Sbigneum in defensionem Concilii Basileensis*, i wiele innych tego rodzaju. 2) *Ephorini Anshelmi Poloni, Remedium contra pestem.* — W Bernie: Kollektanea Bongarsa, a w tych 1) *Gründe des Vorsitzes der Churfürsten vor dem König in Polen.* 2) *De investitura Ducatus Prussiae.* 3) *Instructio legati* Regis *Poloniae ad ordines Transilvaniae.* Za Zyg. III. 4) *Nouvelle de la Victoire du Chancellier de Pologne en Moldavie.* 1600. 5) *De Origine gentis Poloniae.* 6) *Nouvelles de Pologne.* 1596. 7) *Relation de la mort du Czar Fedor.* 8) *Relatio de morte Demetrii.* 9) *Epistolae nobilium Polonorum ad J. Calvinum.*

czyńców Wydziału, przez Prezesa wezwanych. Wydział przy wyborach tych, nie spuszcza ze względu artykułów 3. 4. i 5. Ustawy organicznéj z dnia 15. Lutego 1838.

V. Sessye Wydziału, w Gronie środkowém Paryzkiém, odbywać się będą w dniu 5. każdego miesiąca.

Wydział stósownie do powyższych prawideł, częścią potwierdził, częścią mianował następnych Urzędników.

Lelewel wydał w Lipsku nakładem Brockhausa i Avenariusza 1839. »Dzieje Litwy i Rusi aż do unii z Polską 1569. zawartéj.« Dziełko to, jak sam uczony autor wspomina, jest tylko powtórzeniem tego, co powiedział w tym przedmiocie w swém wydaniu Teodora Wagi w roku 1824. »Gdybym, mówi w »oświadczeniu«, miał notaty moje, które zebrałem wtedy i późniéj, kiedym pomników prawodawstwa litewskiego poszukiwał, a pracę towarzysza losu i przyjaciela mego Daniłowicza do wydania przyrządzał: mógłbym pewnie niektóre punkta dziejów tych dokładniéj wyłuszczyć. Niemając ich i niewiedząc co się z nimi stało, z tém co jest moje, odwołuję się do przypomnienia tylko lub do wyrazów lat temu czternaście w historyi Teodora Wagi dołożonych.« Całe dziełko składa się z następujących głównych rozdziałów. I. Powieści bajeczne. II. Lettoni. III. Ruś podbijająca. IV. Ruś w działach. V. Ruś rozpadła. VI. Ruś i Litwa przenarodowione. (*a.* Namiestnicy; *b.* Senat. Arystokracya Litwę od Polski oderwać usiłuje. *c.* Duch stanu szlacheckiego rośnie i dopełnia zbratania i unii.)

Pan Jastrzębski, który w Paryżu, po departamentach Francyi i w Londynie materyały do historyi polskiéj troskliwie śledzi, tak się wyraża (w liście pisanym do pewnego szanownego obywatela w prowincyi naszéj) o rzeczach polskich, natrafianych w Anglii: »Co do rzeczy polskich w British Museum, jest tam bardzo wiele ciekawości historycznych i literackich; zebrałem obszerne o tém notatki. W ogólności więcéj jest w Anglii rzadkich druków polskich, niż rękopismów; osobliwie zaś zasługują na uwagę amatora i znawcy książki dotyczące historyi kościoła Polskiego, polemiki Aryanów i innych różnowierców.« W tym samym liście wspomina Pan Jastrzębski o Pamiętnikach o królu Janie (zapewne Sobieskim), mających się znajdować w Aix; i o obszernych korrespondencyach Denoyera, sekretarza królowéj Maryi Kazimiry, małżonki Jana III., zawierających wiele rzeczy ciekawych z czasu wyprawy wiedeńskiéj. Życzyćby należało, aby ten piękny przykład P. Jastrzębskiego odgrzebywania pomników ojczystych za granicą, znalazł wielu naśladowców. Tym bowiem sposobem odkryłaby się nie jedna może rzecz zupełnie nieznana, wynurzyłaby się na widnią nie jedna książka polska, uważana za zatraconą, albo też ledwie z tytułu znana. Ale w chwalebném tém dziele śledzenia nie należy najmniejszym nawet księgozbiorem pogardzać, najniepozorniejszego zakątka pomijać, bo książkami tak losy pomiatały i pomiatają jak ludźmi. Wszakże i u nas pod strychem klasztornym lub kościelnym natrafiało się nieraz na książki starożytne holenderskie, hiszpańskie i portugalskie. Podobnież i polskie dzieła, zwłaszcza po łacinie pisane, mogły się zabłąkać do najskrytszych zakątków Europy zachodniéj.

Temuż samemu obywatelowi donosi A. Mickiewicz, iż obecnie pracuje wprawdzie nad historyą polską, ale od ogłoszenia jéj drukiem wstrzymuje go zamiar wydania dziejów krajowych wierszem, (jak się wyraża), bo doświadczenie uczy, że wypadki historyczne w formie poetycznéj oddane, prędzéj przechodzą do ogółu, żywiéj wrażając się w pamięć. (? !)

Pewna dama, z Wielkopolski rodem, przebywająca od lat wielu w stołeczném mieście zagraniczném, i ucząca po własném wydoskonaleniu się w Paryżu tamże języka francuzkiego, ułożyła: *Tablettes grammaticales pour servir à l'éclaircissement des regles fondamentales de la grammaire française.* Kilkoletnie doświadczenie dowiodło użytku tych tabell, tak dla nauczyciela, biorącego je za wskazówkę przy dawaniu lekcyi, jak dla uczniów przy powtarzaniu lekcyi, jako też nakoniec dla tych, którzy, po odebraniu początków, sami się języka uczą. Dzieło tworzyć będzie atlas z kart kilkunastu niezbyt wielkiego formatu, w samym Paryżu zostanie litografowaném, by było bez najmniejszéj pomyłki. Dla podpisujących się na nie cena wynosić będzie 5 lub 6 franków. W księgarni braci Szerków w Poznaniu złożone uwiadomienie o subskrypcyi, oraz jedna tablica samego dzieła. Zapłata ma dopiero następować przy doręczaniu gotowego pisma. Oprócz wielu innych znawców języka francuzkiego przyznaje i Pan Rammstein, professor francuzkiego języka i literatury przy uniwersytecie w Pradze, dziełku temu dokładność i użyteczność.

Wyszło niedawno dziełko: Mosaik-Erzählungen von E. Janinski. 2 Bände. Altona, dość pochlebnie od recenzentów niemieckich ocenione, jako zalecające się zręcznėm pojęciem, rozmaitością charakterów i wypadków, i nareszcie silném władaniem języka. Jeżeli pan Janiński, jak się z nazwiska, a nawet niemieckiego stylu, zdradzającego tu i owdzie cudzoziemca, domyślać można, jest polakiem, jest to nowym dowodem, z jaką łatwością ziomkowie nasi nabywają biegłości w językach. Widzieliśmy ich dawniéj piszących po francuzku, teraz rzucili się do niemczyzny, a nawet i do angielszczyzny (rozprawa Koźmiana w Atheneum, czasopiśmie angielskiém Dybowskiego »Polish Magazin« wychodzącem w Londynie.) Że Trentowski i Cieszkowski w przedmiotach filozoficznych po niemiecku pisali, to poniekąd da się wytłómaczyć; chcieli bowiem wprzód, nim zaczną pracować nad wyrobieniem własnego języka pod względem filozoficznym, złożyć niejako świadectwo swym nauczycielom, aby się tém samém wyzwolić na mistrzów i pracowników na własnéj ojczystéj niwie. Ale gdy widzimy w belletrystyce w obcym języku występujących rodaków, jak dawniéj Bronikowski, teraz Tarnowski Władysław piszący powieści do wszystkich znaczniejszych pism niemieckich, Anielewski *) artykuły do Komet, Biernacki (tz) romanse i powieści, Czarnowski tłómaczący z angielskiego na niemiecki język i t. d. i t. d. wstrzymać się nie możemy od dwóch niemiłych uwag, że albo takowi pisarze uczynili już na zawsze rozbrat z mową ojczystą, kiedy im łatwiéj w obcéj mowie myśli swoje wyrażać; albo też że nie znalazłszy czytelników między rodakami, dającymi obcym pierwszeństwo, porzuciwszy niewdzięcznych, między cudzoziemcami, choć z daleko większą trudnością, zasłużyć się pragną uczonemu światu. Jakoż nie nowina to dla nas, że Polak dopiero przez cudzoziemców oceniony i publiczności polecony, we własnéj ojczyźnie hołd zasłużony odniesie; jak nasze skóry surowe za granicą wyprawione, dopiero do użycia zdatne.

*) Pan Anielewski pisze także pięknie i w ojszystym języku, jak sami się przekonaliśmy z jego łaskawie nam udzielonych powieści.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*